ROK VI. Chicago, dnia 27 go Września, 1888. No. 39



Wychodzi raz na tydzień. Kosztuje rocznie $1.00. Dla tych co trzymają Gazetę Katolicką, wynosi przedpłata roczna tylko 50 centów. Do Europy: z Gazetą $1.00, bez Gazety $1.50. Przedpłata musi być naprzód opłacona. — Pokwitowań nie ogłasza się.

Wszelkie listy i korespondencye adresować należy: / All comunications must be adressed: W. Smulski, 635 Noble str. Chicago, Ill.

Entered at the post office of Chicago, Ill. as second class matter.

APROBATA.

Niniejszem udzielam aprobatę moją pismu „Dzień Święty" i zalecam takowe jak najgoręcej naszym Polakom-Katolikom.

Chicago, dn. 3. Stycznia R. P. 1883.

† P. A. FEEHAN,
Arcybiskup Chicagowski.

KALENDARZ TYGODNIOWY.

DNI:	KATOLICKI:	SŁOWIAŃSKI:
Czwartek, 27 września	Przen. ś. Stan. i Damiana	Damian.
Piątek, 28 września	Wacława kr. m.	Wacław św.
Sobota, 29 września	Michała Archanioła.	Dadźbóg.
Niedziela, 30 września	19-ta po Św. Hieronima kap.	Imisław.
Poniedziałek, 1 października	M.B. Różańcowej	Znatysław.
Wtorek, 2 października	Aniołów Stróżów.	Stanimir.
Sroda, 3 października	Kandyda m.	Siemian.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

NA NIEDZIELĘ XIX-tą PO ŚWIĄTKACH.

Ewangielia S. Mateusza w rozdz. XXII. od w. 1 *do* 15.

W owym czasie mówił Jezus do przedniejszych kapłanów i Faryzeuszów przez przypowieści, i rzekł: Podobne się stało królestwo niebieskie człowiekowi królowi, który sprawił gody małżeńskie synowi swojemu. I posłał sługi swoje wzywać zaproszonych na gody, a nie chcieli przyjść. Znowu posłał insze sługi, mówiąc: Powiedzcie zaproszonym: Oto obiad nagotowałem, woły moje i karmne rzeczy są pobite, a wszystko gotowe, pójdźcie na gody. A oni zaniedbali i odeszli, jeden do wsi swojej, a drugi do kupiectwa swego, a drudzy pojmali sługi jego, i zelżywość im uczyniwszy, pobili. A usłyszawszy król, rozgniewał się, i posławszy wojska swe, wytracił onych mężobójców, i miasto ich spalił. Tedy rzekł służebnikom swoim: Gody są gotowe, lecz zaproszeni nie byli godnymi, przeto idźcie na rozstajne drogi a którychkolwiek znajdziecie, wezwijcie na gody. I wyszedłszy słudzy jego na drogi, zebrali wszystkich, których znaleźli, złych i dobrych, i napełnione są gody siedzącymi. A wszedłszy król, aby oglądał siedzących, obaczył tam człowieka, nieodzianego szatą godową, i rzekł mu: Przyjacielu! jakoś tu wszedł, nie mając szaty godowej? A on zamilkł. Tedy rzekł król sługom: Związawszy ręce i nogi jego, wrzućcie go w ciemności zewnętrzne, tam będzie płacz i zgrzytanie zębów. Albowiem wiele jest wezwanych, lecz mało wybranych.

POKOJ TORUŃSKI.

Napisał Piotr Zbrożek.

Ciąg dalszy.

Znowu dziesięć lat minęło.

Związek założony przez obywateli trwał ciągle. Do związku dużo miast i ziem należało, a kierował nim tajny wydział, wybrany z towarzystwa, które miało nazwę „Związek jaszczurczy,“ bo za godło przyjęli jaszczurkę.

Pod Toruniem wśród lasów zbierają się jacyś ludzie nieznani. Czas wybrali, kiedy księżyc na nowiu nie świeci. Niebo czyste, bez chmur, wyiskrzone gwiazdami, ale na ziemi ciemno, a w lasach noc nieprzebyta.

Coś świszcze po lesie trzy razy po trzy. Potem jakiś głos się odezwie pocichu i słychać wymówione słowo „jaszczurka.“

To byli ludzie, naczelnicy związku. Było ich sześciu, stanowią tajny rząd pruskich obywateli.

Drzewo zwalone ze starości było im krzesłem i ławką. Rozmawiali kilka godzin, to przysiadując, to stojąc. Z twarzy jeden drugiego nie pozna, ale po głosie. Wiedzą, że sami swoi.

Rzecz ciekawa, o czem mówili.

Odezwał się pierwszy:

— Dłużej nie możemy już kryć przed sobą, że Jan Bajzen nas zdradza. On, głowa naszego rządu narodowego. Słyszałem sam, jak namawiał ludzi do rozwiązania związku.... ja, Jan Ezegenberger.

— Poznaliśmy cię przecie! — odezwał się inny głos w kole.

— Otóż teraz sprowadził się do Torunia, niby dla zdrowia, a on tu pod bokiem naszym siedzi, by nam ludzi odmawiać.

— To zdrajca! — mruknął krótko Augustyn Szwewe.

— Musimy go ogłosić jako bezecnego! — odezwał się głos trzeci.

— Poczekajcież! — inny głos wyrzekł. — Jan Bajzen

był przez długie lata naszym naczelnikiem i oddał nam niejedne usługę. On nam doradzał teraźniejszemu mistrzowi nie składać hołdu. Przypomnijcie sobie, że właśnie za jego radą, ile razy na zjazdach związku żądał od nas mistrz hołdu, myśmy mu odpowiadali różnemi skargami przeciw zakonowi, i żądaliśmy, by nam najpierw wymierzono sprawiedliwość. Prawda, po kilku latach hołd złożyliśmy; ale wytrzymawszy mistrza tak długo, zmusiliśmy, żeby hołd odbierał jak żebrak, nie jak książę i pan. Nie my do niego jechaliśmy po złożenie przysięgi wierności, lecz on do nas, do każdego miasta z osobna. Takie upokorzenie mistrza wielkiego bardzo korzystnie na cały kraj wpłynęło, bo przekonało ludzi o naszej sile, a słabości rządów niemieckich.

I ja — drugi głos się odezwał — muszę słowo za Bajzenem powiedzieć. Za jego radą wysłaliśmy poselstwo do cesarza niemieckiego, który związek nasz potwierdził.

— Tak jest, cesarz uznał nasz związek; ale zapłaciliśmy za to w jego kancelaryi pięć tysięcy czterysta dukatów.

— Płacili i krzyżacy — odezwał się Ezegenberger — a przecież nas nie mogli zgubić; bo cesarz wiedział o naszem poselstwie w Krakowie, i boi się byśmy się, nie oddali zupełnie królowi polskiemu.

— Ale zasługi użycia cesarza niemieckiego przeciw niemieckiemu zakonowi nie możemy zaprzeczyć Janowi Bajzenowi. On także pouczył nas, jak postąpić z posłem papieskim biskupem Ludwikiem Silves, kiedy go papież przysłał, chcąc przeciw nam ratować władzę zakonu. Za jego radą posłowie miast i ziem naszych udawali się na zjazdy, słuchali pokornie kazań biskupa; ale kiedy tenże rozwiązania związku żądał, wtenczas mówili, że muszą pojechać do domów, aby się w tym względzie porozumieć z wyborcami, bo na żądanie takie nie byli przygotowani, i wyjechali. Tym sposobem sprawę przewlekali, aż wreszcie poseł papieski odjechał.

— I to prawda; ale rzucił klątwę na związek — mruknął ktoś inny.

— Klątwa nikogo nie odstraszyła.

— Skończmy przecież tę sprawę, bo jeszcze dużo mamy

do ustanowienia — rzecze Augustyn Szwewe. — Zasługi Jana Bajzena znamy, bo każdy z nas wie, ile kto zrobił dla zrzucenia jarzma niemieckiego; kiedy jednak kto staje się szkodliwym, trzeba go usunąć. Jan Bajzen zwątpił w nasze siły i pojednał się z wrogami. Z naszego grona już dawno jest wykluczonym, spiskowi nie uważają go za przyjaciela, a jednak wielu związkowych ulega jego zimnym wywodom; on nas osłabia, nasze roboty krzyżuje. Moglibyśmy go skazać na karę śmierci; lecz uznaję dawne jego zasługi dlatego żądam, by go tylko od czci odsądzić, a tym sposobem, uczynić nieszkodliwym.

— Zgoda! zgoda! — półgłosem powtórzyli drudzy po kolei.

— Naczelnikiem naszym niech będzie Ezegenberger! — rzekł Szwewe. — Kto się na to zgadza, niech do mego kapelusza wrzuci liść, a kto inaczej myśli, niech wrzuci trawę.

W ciemności pochyliły się postacie, a ręce zrywały z krzaków listki. Do kapelusza wrzucono sześć listków.

— Niema ani jednej trawki! — znowu odezwał się Szwewe. — Znalazłem sześć listków w kapeluszu. Jest jedność między nami, a Ezegenberger wie, że potrafi rządzić.

— Jeżeli was zawiodę, dam gardło! — Krótko przyjął urząd naczelnik tajnego rządu. — Jakobie Swenten, na ciebie wkładam obowiązek pilnowania Jana Bajzena.... każdy krok jego będzie ci wiadomym!

— Spełnię obowiązek — rzekł Swenten.

— Jaki stan kasy? — zapytał naczelnik.

— Mamy przeszło siedmtysięcy dukatów—zdawał sprawę kasyer rządu tajnego. — Wszystkie miasta nadsyłają nam chętnie podatki, krzyżacy dotąd nic nie wiedzą.

— Czy nasi posłowie w Rzymie, w Kolonii, w Erfurcie, w Lipsku mają dostateczne fundusze, aby umysły za granicą przygotować na naszą korzyść, aby mogli przekonać świat, że krzyżacy są gorsi niż rozbójnicy?

— Wszędzie pieniądze posłałem i mam na piśmie potwierdzenie odbioru — odpowiedział kasyer.

— Musimy zniechęcić do krzyżaków Niemców i papieża. Ztamtąd mają pomoc, tam ich trzeba zgubić.

— Ostatni raz na zebraniu włożyliście na mnie obowiązek postarania się o człowieka, przez którego z zagranicy możnaby broń przygotowywać.... już go znalazłem. — Tak mówił Szwewe.

— Od dnia dzisiejszego — rzecze na to naczelnik — przybywa nam nowe źródło wydatku. Kasyerze, będziesz na broń wypłacał pieniądze na żądanie Szwewemu. Może jeszcze dwa lub trzy lata zdołamy powstrzymać wybuch powstania, ale to najdłużej. Przez długi czas przygotowywaliśmy przeciw Niemcom burzę — ostatnią walkę o wolność. Lud jest z nami, słucha naszego rządu, nam płaci podatki. Gdybyśmy dziś zakazali Niemcom płacić podatki, pewnieby nas usłuchano w całym kraju; ale czas jeszcze nie przyszedł. Wszakże pamiętajmy że od dnia dzisiejszego broń zaczynamy skupować, nietylko z pieniędzy narodowych, ale niech kto może prywatnie przygotowuje wszystko do wojny.

— Czy mamy jeszcze co załatwić? — Przywiozłem z Gdańska listy—rzekł Swenten. — Oto składam je w twoje ręce, naczelniku!— Wiem, co zawierają!—odpowiedział naczelnik. — Do rady miejskiej Gdańska pisali niemieccy książęta, aby związek nasz rozwiązać; wyrzucali dlaczego nasz związek nie zgodził się z krzyżakami, kiedy był tu poseł papieski, i grożą miastu niełaską w razie nieposłuszeństwa.

— Cóż Gdańsk na to? — zapytał jeden z koła.

— Z Gdańska zażądałem owych listów książęcych i oto przesyłają mi je przez Swentena. Sprawa to nie pilna; zwołamy zjazd związku i tam uchwalimy, by Gdańszczanie odpowiedzieli książętom, że my tylko zgody pragniemy, a nawet sami krzyżakom pierwsi rękę podajemy; ale krzyżacy nie chcą.... Tymczasem jeszcze raz przypominam: zbroić się i zbierać zapasy wojenne! Miastom każemy przygotowywać zboże po szpichlerzach i naprawiać mury.

— Na przyszły raz zgromadzimy się — tak kończył naczelnik, i zbliżywszy się do każdego, szeptał mu do ucha dzień i miejsce przyszłego zebrania.

Po chwili już w tem miejscu nie było nikogo; słychać tylko szum odwiecznych dębów, poważny, jednostajny, głęboki.

POWSTANIE.

Miasto Toruń było bogate i wspaniałe, a liczbą ludności równało się prawie krakowskiej. Nie dziw więc, że w związku pruskim ważne miało znaczenie. Rząd tajny narodowy liczył na Toruń od początku związku. Teraz w kilka lat po zdarzeniach opisanych w poprzedzających ustępach, życie w Toruniu było gorące, silne, niecierpliwe. Zatargi nieraz wszczynały się pomiędzy mieszczanami, zwłaszcza młodszymi, a krzyżakami. Rozmaicie się też kończyły, zawsze jednak tem bardziej rozdrażniały.

Pomiędzy mieszczanami najmajętniejszymi był kupiec i radny miejski Kopernik.

Sredniego wzrostu, silnie zbudowany, oko niebieskie, bystre jak iskra; rozumne, wysokie czoło, włosy i broda białe, śnieżne. Gdyby nie siwizna, możnaby go uważać za młodszego niż był w istocie. Mowa jego była śmiała, głos dźwięczny, jasny.

Kopernik miał syna Henryka i dwie córki Annę i Maryą. Mieszkał we własnej kamienicy piętrowej na starym Toruniu.

Henryk nie należał do żadnej rady, ale przez ojca wiedział o wielu najważniejszych sprawach. — Ojciec chodził na zebrania rady miejskiej i tam przeprowadzał zamiary tajnego rządu, otrzymywane za pośrednictwem młodszego Baizena.

Raz wróciwszy do domu, kazał szyć córkom chorągiew czerwoną z jaszczurką białą we środku. Chorągiew wojenną. Toruń powstanie w czterech oddziałach, każdy z inną chorągwią. Może Henryk będzie chorążym!

Kiedy prawie był sztandar skończony, a Anusia obszyła go srebrnemi frendzlami, zbliżał się czas naznaczony do powstania. Wieści ciągle lecą z ust do ust po mieście, jak jaskółki.

Henryk przyniósł siostrze pewne wiadomości.

— Anusiu droga! — rzekł — ojciec nam nic nie mówił, a jutro na ratuszu rozdawać będą broń ludowi.

— Właśnie że mówił — odrzekła Anna. — Mnie kazał dziś skończyć chorągiew. Ty pewnie będziesz chorążym.

— Jabym wolał być z bronią; i tak będzie, bo chorągwią bić nie można, a ze strzelby lub pałaszem przeciebym położył trupem kilku krzyżaków.

— Szyjąc chorągiew, tak nieraz myślałam: „Ten znak przed wojskiem mój kochany brat poniesie. On idzie naprzód, nad jego głową powiewa na czerwonem polu jaszczurka biała, za nim tysiące z bronią, tysiące; ale on jeden chorąży. Idzie, wiedzie wojsko. Gdzie się zbliży do nieprzyjaciela, tam tysiące padnie wystrzałów, tam tysiące błyśnie pałaszy nad głowami nienawistnych. On idzie na wały, za nim wojsko; on na nieprzyjacielskim murze zatknie chorągiew, i mur się roi zdobywcami, spędzają nieprzyjaciela, wpadają, zajmują twierdzę!"

— Bądź, mój braciszku, chorążym. Wy po zwycięstwie wrócicie do miasta. Z każdego okna wychylają się głowy. Każda matka szuka oczyma za synem, każda siostra chce brata obaczyć. Ty z chorągwią; ja spojrzę po tłumie, a tam daleko mojemi rękami haftowana jaszczurka na czerwonem polu. Ucieszę się: „Tam mój Henryk kochany!"

Henryk ucałował rękę Anusi.

— Choć ty tak pięknie przedstawiasz chorążego, przecież wolę być żołnierzem! Ktoś inny poniesie to godło twojemi rączkami uszyte, ale ja za nim pójdę — za nim. „Tam gdzie ta czerwona kitajka powiewa," będę myślał, „tam chęci mojej siostrzyczki. Niemcy chcą zabić chorążego, chcą porwać sztandar; ja go bronię pałaszem, ja ich odpędzam od tego znaku. Z niego spływa zapał mojej siostry i błogosławieństwo ojca na całe wojsko.... na całą sprawę."

Sród tej rozmowy wszedł do pokoju ojciec prowadząc drugą córkę za rękę, a jak gdyby za nimi rozległ się w mieście jakiś gwar i wrzawa, przytłumionym odgłosem napełniając pokoje. Henryk i Anusia zbliżyli się do ojca, a on tłumaczył co znaczą okrzyki.

— Właśnie zamknąłem sklepy i spieszę z Marynią opowiedzieć wam wiadomości najświeższe, najradośniejsze. Już z rana wezwano mię na ratusz. Poszedłem. Przed ratuszem uszeregowani Czesi przybyli dla obrony naszej wolności z Ramszelem Kriksenem. Spokojnie radnych przepuszczali do gmachu. Przybyłem do sali. Wszyscy zbierający się mieli uroczyste postawy. Wiedzieliśmy, że nas ważne wypadki powołują do czynu. Wkrótce wszystkie ławy zajęto. Jeszcze kogoś brakuje, bo się nikt nie odzywa. Drzwi się otwarły i wszedł pierwszy Jan Bajzen, a po nim Gabryel Bajzen, Tileman, Szwewe, Jakób Swenten — członkowie rządu tajnego.

Dziś rząd narodowy tajny wystąpił w dziennem świetle, przed oczy całego świata, i rozwidniły nam się dusze i zajaśniały serca nieopisaną radością.

Jan Bajzen był nas odstąpił, ale teraz powrócił, pojednał się z nami i jest naczelnikiem rządu. Słuchaliśmy jego opowiadania, o stanie naszej świętej sprawy. Mówił o poselstwie do króla polskiego w Krakowie i o serdecznem przyjęciu przez Polaków. Wypędzimy Niemców i znowu będziemy z Polską połączeni, wolni i szczęśliwi.

Mistrzowi krzyżackiemu wypowiadamy posłuszeństwo; już odeszło poselstwo, by mu postanowienie nasze obwieścić w Malborgu.

— Ach, ojcze! — rzekł Henryk, wyprostowany jakby chciał sobą rozbić niewolę, z okiem zapalonem jak błyskawica — ojcze, czemu ja do poselstwa nie należę? Jabym temu Niemcowi słowami niosącemi wojnę roztrzaskał duszę, jabym go okiem zabił jak piorunem!

— Synu! twojego ramienia potrzebujemy, ty będziesz dowodził nami mieszczanami przy szturmie na twierdzę. Właśnie przyszedłem po ciebie. Idziemy na ratusz. Uściskaj siostry. Zabierz chorągiew!

— Siostry, anioły moje! módlcie się za naszą sprawę i oczekujcie nas jako zwycięzców.

Tak żegnał siostry, przyciskając do piersi i całując ręce. C. d. n.

CÓRKA SYBIRSKIEGO WYGNAŃCA.

Powieść z niedalekiej przeszłości.

(Ciąg dalszy.)

Marta, wychowana w tej dzikiej puszczy od czwartego roku życia nie znała innej ojczyzny. Zdala od świata wyrosła na urodziwą dziewicę — jako jedyne szczęście rodziców. Toż i Marta kochała ich całą duszą; oni byli dla niej wszystkiem: ochronicielami jej słabości, towarzyszami, z którymi wyłącznie obcowała. Nie wiedziała ona nic więcej nad to, czego się od nich nauczyła. Kiedy się jej duchowe zdolności rozwinęły, kiedy zaczęła samodzielnie myśleć i zastanawiać się nad rzeczami, wówczas spostrzegła łzy matki i poznała, że jej ojciec był nieszczęśliwym. Tyle tylko jednak mogła się od nich dowiedzieć, że opłakują ojczyznę — nigdy zaś nie powierzyli jej rodzice nazwiska tego kraju i stanowiska, jakie w nim zajmowali. Nie chcieli bowiem wzbudzać w duszy dziecka bolesnego żalu, jakiby uczuwać musiała, dowiedziawszy się, z jakiej ich wyżyny na wygnanie zepchnięto. Atoli od chwili, skoro Marta smutek rodziców odkryła, zmieniły się całkowicie jej myśli. Zabawy, które dawniej zaspakajały jej niewinność, straciły dla niej urok; zapomniała ona o kwiatkach i lubieniu ptasząt. W jej główce utrwalił się plan jakiś, którego wszechstronne obmyślenie jedynem było zajęciem jej marzeń w samotności.

ROZDZIAŁ DRUGI.

Piotr Wschodnik, wygnaniec z nad jeziora, był namiętnym myśliwym. Atoli przed rokiem byłby był prawie życiem przypłacił to swoje zamiłowanie. Postrzelił on dużego niedźwiedzia — kula atoli nie położyła go trupem — z wściekłością rzucił się na niego niedźwiedź. Wschodnik nie miał czasu do ponownego nabicia strzelby, a do ucieczki było już także za późno. Wydobył więc długi nóż myśliwski, aby nim zwierza zabić. Kiedy tedy niedźwiedź przed nim się wspiął na tylne nogi, wbił mu swój nóż w ciało w niewłaściwe miejsce. Zanim tedy zdołał zadać mu cios nowy, porwał

go niedźwiedź w łapy — chwileczka jeszcze, a byłby w nich zginął. Wtem rozległ się w bliskości strzał; dreszcz ogarnął ciało strasznego zwierza; zachwiał się on i runął nieżywy na ziemię. Padając obalił na ziemię Wschodnika, który na niej kilka chwil odurzony leżał; następnie zmiarkował on, że jakiś człowiek usiłował ciało zabitego zwierza od niego uwolnić i na bok odsunąć. Zbawcą Wschodnika był dobrze zbudowany okazały młodzieniec, który go z współczuciem zapytał: „Czy niebezpiecznie jesteście ranni?“ Wschodnik zapewnił go, że nie czuje nic więcej prócz rany w mięśniu lewego ramienia, a obfita krew na nim pochodzi z ran niedźwiedzia. Młodzieniec, który wygnańca z pazurów niedzwiedzia uwolnił, był synem gubernatora Smołowa z Tobolska, który rok rocznie do Saimki na łowy przybywał.

Feodora i Marta przelękły się śmiertelnie, kiedy Wschodnik do domu wrócił i o przygodzie, niespodziewanem ocaleniu im opowiedział. Pewnego grudniowego poranka, gdy mróz doszedł do 30. stopni, pochwycił Wschodnik znowu strzelbę, udając się w step na łowy. Uściskał żonę i córkę, obiecując im, powrócić jeszcze tego samego dnia przed zapadnięciem nocy. Minął jednak dzień i noc nadeszła, a Wschodnika nie było widać w domu. Po długiem daremnem wyczekiwaniu wybrała się Feodora z córką odszukać ojca. Obie szły raźno przetrzebionym wyrębem ku stepowi. Wiatr dął zimny, przenikliwy, jodły zdawały się być drzewami z lodu, a mocno przymarzły śnieg był gładki niby źwierciadło. Zmrok nocny zasłonił już przedmioty, drogę uczynił niepewną i utrudzającą. Feodora zaczęła się utrudzać i chwiać na nogach. Kiedy się do równiny zbliżały, nie mogła ona już iść dalej; oparła się więc o drzewo i kazała samej córce iść dalej.

W kilka chwil potem stanęła Marta na równinie; rozglądała się tutaj naokoło, atoli śladu ojca nie zoczyła. Wtem padl strzał niedaleko — sądziła ona, że to ojciec musiał strzelić i pobiegła w owę stronę. Poza skałą ujrzała nagle człowieka, schylającego się ku ziemi, jakby czegoś szukał. „Ojcze, czyto ty jesteś?“ zapytała. Człowiek ów zwrócił się

ku niej — ale to nie był Wschodnik: twarz jego była młoda i piękna; zadziwił się też bardzo na widok Marty. „Czy pan nie widziałeś gdzie w stepie mego ojca?“ znowu zapytała dziewica. „Kto jest jej ojcem?“ — „Piotr Wschodnik!“ odpowiedziała Marta. — „Jakto?“ zawołał myśliwy — „pani jesteś córką zesłańca w chacie nad jeziorem? Uspokój się pani, znam jej ojca; nie ma jeszcze godziny, jak go opuściłem; musiał on nieco z drogi zboczyć, teraz atoli będzie już z pewnością w domu.“

Marta nie czekała dłużej, ale pobiegła natychmiast w miejsce, gdzie zostawiła matkę. Nie znalazła jej tam niestety! Zalękniona wzywała rodziców po imieniu, aż się w lesie rozlegało — i oto od jeziora odpowiedział jej jakiś głos. Przyspieszyła tedy kroki i znalazła się wkrótce w objęciach ojca i matki, którzy na nią czekali we drzwiach chaty. Po przywitaniu się z nimi spostrzegła Marta, że za nią szedł ów myśliwy ze stepu. Wschodnik popatrzał na niego i rzekł z ubolewaniem: „Już bardzo późno, panie Smołów; a przecie pan wie, że mi nie wolno: ofiarować mu schronienie, choćby na jednę noc.“ — „Pan Smołów, który ci życie ocalił?!“ zawołały Marta z matką. „Tak, to on!“ odrzekł Wschodnik — „bez jego pomocy jużby mię tutaj więcej nie było.“

„Panie Smołów!“ — rzekła Marta — „od roku nie było dnia, żebyśmy się nie były modliły o błogosławieństwo Boga dla pana.“

„Bóg prośby pań wysłuchał“ odrzekł wzruszony młodzieniec — „przez to, iż mi tutaj przyjść dozwolił — boć to, co uczyniłem, było powinnością każdego człowieka.“

Ponieważ gubernator w Tobolsku, a ojciec młodego Smołowa zabronił był Wschodnikowi przyjmować kogokolwiek do chaty, więc wdzięczny wygnaniec chciał odprowadzić młodego Smołowa z pochodnią zapaloną do Saimki. Ten atoli na to rzekł: „Pozwól mi pan zabawić w swej chacie aż do rana; znam rozkazy, jakie mój ojciec otrzymał i powody, dla których panu tyle surowości okazuje; przecież jestem pewny, iżby mi pozwolił uwolnić pana od obietnicy, jaką się pan zobowiązałeś, nie przyjmować do mieszkania

nikogo, wiem nadto, że panu będzie wdzięczny, jeśli mię dzisiaj u siebie przenocujesz.“ Wschodnik ujął młodzieńca za rękę, wszedł z nim do chaty i obaj usiedli przy piecu, podczas gdy Marta z matką wieczerzę przysposabiały.

Marta była ubrana zwyczajem tatarskich włościanek w krótką czerwoną świtkę, szarawary ze skóry rena: włosy jej ciemne spadały jej po białych ramionach w długich splotach aż do stóp; z boku zapięty gorsecik uwydatniał jej smukłą kibić, toż i aż do łokci zakasane rękawy nie zakrywały wcale jej pieknych rąk. Pojedynczy ten stroj zdawał się podnosić jeszcze jej dumną postawę; a wszystkie jej ruchy były tak pełne powabu, że ją Smołów w duchu podziwiać musiał. Spojrzenia ich szukały się nawzajem nieustannie. Podczas wieczerzy oświadczył Smołów wygnańcowi, że zabawi jeszcze kilka dni w Saimce, a potem udać się musi do Tobolska, nad czem wielce ubolewa, ponieważ w najbliższym czasie miały się odbyć wielkie łowy na wilki, gdyż te zwierzęta stały się formalną plagą kraju. Wreszcie mlody Smołów pożegnał się z wygnańcami. Marta zasmuciła się; pragnęła ona w duszy odkryć mu swój długo żywiony tajemny plan. Nie mogąc jednak pomówić z nim sam na sam postanowiła odłożyć całą sprawę na później, chciala jednak dowiedzieć się, czy młodzieniec jeszcze powróci. „Panie Smołów!“ zapytała żywo — „czy pan już do nas nie powróci? O, przyrzeknij mi pan, że nie ostatni raz dzisiaj oglądamy wybawiciela mego ojca.“

Smołów odrzekł, że sobie wyjedna u ojca potrzebne pozwolenie, zaręczając, iż ojciec jest w gruncie człowiekiem dobrym.

„Jeśli tak,“ — rzekła Feodora — „więc proś go pan w naszem imieniu, aby nam pozwolił odwiedzać w niedzielę kościół w Saimce.“

Smołów obiecał uzyskać to pozwolenie u ojca i oddalił się wreszcie. W drodze do Saimki i Tobolska myśli młodzieńca zajmowały się nieustannie nadobną Martą. Dziewczyna ta, która się mu dniem przedtem na puszczy w całej urodzie i powabie ukazała, wzruszyła do głębi jego serce; a

kiedy ją u rodziców widział, uczucia jego jeszcze się więcej spotęgowały. Przywołał sobie na pamięć rysy jej twarzy, jej słowa, osobliwie ostatnie, które do niego wyrzekła — żywość, z jaką wyraziła życzenie zobaczenia się z nim jeszcze w przyszłości. Jego młoda wyobraźnia wkrótce zawyrokowała, że serce dziewczyny podziela jego uczucia.

Pewnego wieczora siedział Wschodnik przy stole z jodłowatego drzewa, wspierając głowę na dłoniach, zagłębiony w marzeniach, wzdychając od czasu do czasu. Feodora wypuściła z rąk igłę i patrzała z trwogą na męża. Marta siedziała na rogu w cieniu, spoglądała na rodziców, myśląc z przyjemnością o tem, że kiedyś nadejdzie dzień, w którym nie będą już płakali. Nie wątpiła o tem, że Smołów chętnie plan jej wesprze — lękała się przecież odmowy rodziców. Czuła ona, że musi przed nimi serce otworzyć i że do tego czas już nadszedł.

Zbliżyła się tedy cichutko do ojca i rzekła: „Ojcze, mam się ciebie o coś spytać."

Wschodnik podniósł głowę, dając nią znak, że się zgadza.

„Kiedy niedawno był u nas młody Smołów, oświadczyłeś mu, że nie masz żadnego życzenia. A czy to istotnie prawda?" — „Tak, nie mam nic takiego do życzenia, coby mi on mógł dać."

„A któż mógłby ci to dać, czegobyś sobie życzył?"

„Sprawiedliwość!"

„Ojcze, a gdzie ją można znaleść dla ciebie?"

„W niebie bez wątpienia, nigdy zaś na ziemi!" odrzekł Wschodnik; a twarz jego sposępniała.

„Ach mój drogi ojcze!" zawołała Marta — „przebacz śmiałości córki, któraby pragnęła raz w życiu uczynić coś dla ciebie i dla matki, tak jak wyście nie przestali wyświadczać jej dobrodziejstwa od jej urodzenia. Nie powiesz-że mi, co was tak ciągle dręczy? Jestem przekonana, że wasze nieszczęście możnaby od was odwrócić."

Mówiąc to uklękła Marta przed ojcem, pochwyciła jego rękę, spoglądając ku niebu trwożliwie. Wschodnik milczał kilka chwil; następnie położył prawą rękę na głowie dziecka

i rzekł: „Jesteś dobrą, lubą córką; obiecuję ci wszystko powiedzieć, czegobyś sobie tylko życzyła — lecz poczekaj kilka dni: dzisiaj nie mogę jeszcze o tem mówic.“ C.d.n.

ŚWIĘTA MARCINA.

Ta sławna dziewica, patronka Rzymu, pochodziła z najzacniejszej rodziny. Jej ojciec po trzykroć piastował godność konsula i opływał nietylko w cnoty, ale także i w dobra ziemskie.

Marcina z największą troskliwością w chrześciańskiej wierze i cnocie wyćwiczona, już w młodziuchnym wieku straciła rodziców. Z miłości ku Chrystusowi, który jej serce całkowicie posiadł, z przedziwną hojnością ogromny swój majątek rozdała ubogim, poślubiła wieczne panieństwo i dla swych znakomitych zalet duszy i serca przyjętą została do grona dyakonis. Był to zaszczyt, do którego tylko wypróbowana pobożność drogę torowała.

Cesarz Aleksander Sewerus (od r. 221 do 235) powziąwszy zamiar znienawidzoną sektę Galilejczyków — tak zwano chrześcian — wytępić, poruszył wszystkie sprężyny, aby Marcinę, dla piękności, zacności i dobroczynności powszechnie szanowną, sobie pozyskać i za żonę pojąć, jeśli zechce Apolinowi (bożkowi słońca) ofiarę złożyć.

Marcina odpowiedziała:

Niepokalanemu Bogu ofiarę złożę, aby moja ofiara pohańbiła Apolina i aby tenże przestał gubić dusze ludzkie.

Cesarz urządził uroczystą ofiarę i zaprowadził Marcinę do świątyni Apolina, gdzie kapłani pogańscy wraz z mnóstwem ludu byli zgromadzeni. Cisza grobowa zapanowała, oczy wszystkich zwróciły się ku niej; ona pobożnie przeżegnała się krzyżem świętym, wzniosła ręce i oczy błagalne ku niemu i tak się na głos modliła:

„O, Boże i Panie mój, wysłuchaj modlitwę moją i skrusz ten ślepy i niemy bałwan, aby poznał cesarz i lud jego, żeś ty jest prawdziwym Bogiem i że nie wolno czcić innych bogów, oprócz ciebie!“

I w tej samej chwili powstało straszne trzęsienie ziemi, bałwan Apolina spadł z ołtarza i rozleciał się w kawałki; część świątyni runęła i w swych gruzach pogrzebała kapłanów bożyszcza z mnóstwem obecnych.

Takiego końca nie spodziewał się cesarz; złością tedy zapalony, kazał Marcinę bić po twarzy, siec rózgami i panieńskie jej ciało targać obcęgami. Oprawcy wytężyli wszystkie swe siły aż do zmęczenia; lecz Aniół wzmacniał i bronił świętą dziewicę tak cudownie, że w radosnem natchnieniu wśród tych katuszy Jezusa Chrystusa chwaliła i oprawców do wiary w Jego Bóstwo namawiała.

Łaska towarzyszyła jej słowom, ośmiu oprawców upadło na kolana, prosili męczenniczkę o przebaczenie za zniewagi jej wyrządzone i jawnie wyznali swą wiarę w Bóstwo Chrystusa. Tym wypadkiem do szaleństwa przywiedziony cesarz, kazał świętą dziewicę zaprowadzić do więzienia, a ośmiu nawróconych oprawców żelaznemi rozszarpać hakami, a gdy się nie dali do odstępstwa skłonić, wszystkich pościnać.

Nazajutrz przyzwał Seweros znowu przed sąd swój ,,czarownicę" i rzekł szyderczo:

,,Ty podła istoto, teraz dopiero zobaczymy, jak daleko sięga twoja czarodziejska sztuka! Czy chcesz ofiarować bogom państwowym, czy jeszcze nadal trzymać z Chrystusem, czarnoksiężnikiem.

W świętem oburzeniu odrzekła Marcina:

,,Milcz, nie bluźnij mego Boga, jeśli masz katusze w zapasie, to ich używaj, ja się ich nie boję, Bóg mnie będzie umacniał!

Nieludzko bito ją po całem ciele, krajano nożami, członki ze stawów wyrywano; ale żadne męczarnie nie osłabiły wesołości jej umysłu, głośno sławiła Boga, a słodka woń, wynikająca z otwartych ran jej, napełniła powietrze.

Nieporadny w niemocy swej cesarz, kazał na pół umarłą znowu zawieść do więzienia; ale jakże się zdumiał, gdy nazajutrz donieśli mu stróże wiezienni, że rany Marciny zupełnie są zagojone, i że przez całą noc widzieli cudowne

światło w więzieniu i słyszeli modlitwę i śpiewy jakoby mnóstwa osób.

Rozjuszony cesarz kazał świętą pannę zaprowadzić do amfiteatru i lwom ją na pożarcie porzucić, sam zaś chciał się osobiście temu widowisku przypatrywać. Marcina pięknością czarująca, klęczy na piasku i modli się; głodny lew wypada rycząc z swej klatki, już się rzuca na swą zdobycz, lecz siłą niewidzialną wstrzymany, kładzie się jak baranek u nóg, dziewicy; następnie podnosi się, w szalonym skoku przesadza kratę i mnóstwo ludzi pożera.

Rozgniewany i pobladły ze złości cesarz, przypisał ten cud jej czarom i myślał, że odkrył już ich przyczynę, sądząc, że ona w jej włosach spoczywa. Kazał jej przeto aż do skóry głowę ogolić i tak oszpeconą do świątyni Jowisza, gdzie i dwanaście innych bożków czczono, zamknąć.

Na trzeci dzień wyszedł cesarz z mnóstwem kapłanów i ludu do świątyni na uroczystą ofiarę. Wszystkie bożki leżały pogruchotane na ziemi.

„Gdzie Jowisz?“ zapytał rozgniewany Sewerus.

„Musiał zdać sprawę Chrystusowi, rzekła z uśmiechem Marcina, że tych dwunastu bożków od zguby nie zachował; a za karę oddał go mój Bóg szatanom, którzy go potem rozszarpali.“

Tem szyderstwem do prawdziwej wściekłości doprowadzony, kazał ją Sewerus gorącym tłuszczem oblać i ogniem spalić. Już buchnął płomień, gdy nagle silny deszcz ugasił srożący żywioł. Po tym cudzie nastąpił wreszcie wyrok śmierci przez ścięcie. Marcina dziękując Bogu za tę łaskę głowę pod topór ochotnie skłoniła i cios śmiertelny odebrawszy, poszła do Pana po niezwiędłą koronę.

Swięte jej zwłoki pogrzebali tajemnie chrześcianie i spoczywają teraz we wspaniałym kościele, który na jej cześć przy bramie tryumfalnej tegoż Sewera zbudowany został.

Nie ograniczaj się na dawaniu pieniędzy, umiej także dawać twoje staranie, twój czas, światło twoje i tę życzliwość serdeczną a pocieszającą, która częstokroć droższą jest od wsparcia.